№ 39. Warszawa, dnia 18 (30) Września 1874 r. Rok X.—Tom X.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowinyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.
W Krakowie: u D.E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

OSOBISTE WSPOMNIENIE
Z ŻYCIA MARYI SOMERVILLE,

przez jej córkę

Martę Somerville.

(Personal recollections from the life of Mary Somerville, by her daughter, Martha Somerville—London—1874).

(Dalszy ciąg).

Jest rzeczą uderzającą, że dwukrotnie wychodziła za mąż za krewnego, to jest budziła miłość w tych właśnie, którzy widząc ją przy domowem ognisku, w stosunku do rodziców i rodzinnego koła, ukochali w niej wdzięk kobiety rodzinnej. Drugie małżeństwo było, jak sądzić można, więcej niżeli pierwsze dobranem. Wiliam Somerville z powołania już musiał być człowiekiem naukowych zajęć, służył bowiem w medycznym wydziale marynarki i w tym charakterze odbył jeszcze przed poznaniem Maryi, dalekie, i głównie w interesie nauki prowadzone podróże na południe Afryki, a córka pisze z gorącym wyrazem widocznie nie fałszowanej prawdy, że nigdy względnie wywyższone stanowisko żony, nie psuło słodkiej harmonii małżeńskiego pożycia, nie naruszyło siły tego uczucia, które złączyło dwoje ludzi zbliżonych do siebie tak sercem, jak umysłem. Z całego toku wspomnień czuć, że Marya kochała gorąco i podobnie kochaną była, że znalazła w tym związku drugim prawdziwe szczęście życia. Wychodząc raz drugi za mąż, miała rok trzydziesty trzeci i można powiedzieć, że z tą dopiero chwilą zaczyna się prawdziwy rozwój jej życia. Ze szczegółów rozrzuconych po *Wspomnieniach*, wyobraźnia czytelnika tworzy sobie mimowoli obraz rzadkiej piękności: zespolenie dwóch serc i dusz razem, wszystkie błogosławieństwa miłości dopełnione przez szlachetne rozkosze umysłu. Prócz podróży po Francyi i Włoszech, w których Marya poznaje wiele znakomitych osób i zostaje sama poznaną, a w czasie których oboje razem robią zbiory i ciekawie śledzą postęp naukowy świata, widać wszędzie tkliwą staranność męża, aby żona miała sposobność rozwinięcia bogatych zasobów swego umysłu i spotykamy się naprzykład z takim szczegółem, że właśnie w czasie, gdy karmiła pierwsze swe dziecko z drugiego małżeństwa, najstarszą córkę, która umarła potem podrosłą już dziewczynką, mąż tak dobrał sobie sekretarza, aby żona zarazem mogła czytywać z nim Homera i brać lekcye botaniki, do czego ją namówił, widząc jej zamiłowanie do kwiatów i roślin w ogólności. Żyła więc pełnem szczęśliwa życiem—tak serca, jak myśli,—mieszkając z mężem i dziećmi w Londynie, w dostatnim, wygodnie urządzonym domu, w najpiękniejszej części miasta, z którego wszystkich przyjemności artystycznych i towarzyskich korzystała i korzystać umiała, którego pomoce naukowe pozwalały się jej kształcić coraz wyżej, choć już przeszła dla niej ta pora młodości, jaką ludzie uważać zwykli za czas jedynie do kształcenia sposobny. Ale to istnienie, które miało trwać tak długo, nie doszło jeszcze całego przeznaczenia swego: czekała je próba wyższej chwały i razem ciężka próba cierpienia—faza nowa.

Marya straciła najstarszą córeczkę, niemal dziesięcioletnią i był to dla niej cios bolesny, złączony przez smutny zbieg okoliczności ze stratą innego rodzaju wprawdzie, przecież ważną bardzo, która zmieniła nagle tak szczęśliwy dotąd był rodziny. Cały posiadany majątek przepadł niespodziewanie przez nieopatrzne umieszczenie kapitałów i praca ojca rodziny stała się teraz całym utrzymania sposobem. Trzeba więc było ograniczyć się w wielu rzeczach, zmienić miejsce pobytu i Dr Somerville przyjął posadę lekarza przy szpitalu morskim w Chelsea, a tam musiano zająć mieszkanie rządowe w bardzo niezdrowem i mało przyjemnem położeniu, oddalić się od przyjaciół i znajomych. — Była to dla mnie ciężka przykrość — pisze Marya — iż mało chodziłam, to też przez cały czas pobytu mego na Chelsea, cierpiałam na bardzo mocne i częste migreny. Trzeba było przytem oddalić i bonę francuzką, którą Marya dla tego mieć chciała przy dwóch pozostałych córeczkach, aby posiadały dobrze język, którego niepłynna wymowa była często dla niej samej przyczyną przykrości i przeszkodą w stosunkach towarzyskich. Matka zajęła się teraz dziećmi sama i zajmowała się już niemi stale, mając tylko potem już bonę niemiecką do pomocy, a nawet gdy z czasem przyszła potrzeba nauki wyższej, ona była sama nauczycielką i mistrzynią tkliwą. Z drugiej zaś strony dawna nauka ekonomii okazała się potrzebniejszą niż kiedy i znalazła się jak dobry zapas, uzbierany niegdyś i odszukany szczęśliwie w chwili braku niespodziewanego. Było to w 1823 r., Marya więc liczyła rok 43, ale odważna i energiczna jej natura nie upadła, nie złamała się. Straciła jeszcze potem w kolej dwoje dzieci; traciła je niemal zaraz po urodzeniu, co przypisywano powietrzu na Chelsea, a choć cierpiała bardzo mocno, jak dowodzą listy pisane do ojca mężowskiego, walczyła z cierpieniem i przemogła je: zdołała utrzymać tę równowagę ducha, której charaktery silne nie tracą nigdy. I przeparła też niejako los, nagle na nią zawzięty, aż nowy wiatr pomyślności powiał w żagle jej doli. — „Niespodziewanie i w sposób nieprzeczuwany nigdy cały charakter mego życia i bieg jego dotychczasowy został zmienionym“—pisze w pamiętniku wzruszona i nie zdająca się pojmować, jakim cudem stać się mogło to, co się stało—zkąd ludzie mogli przypuścić w niej zdolności, które przecież, jak fakta dowiodły, posiadała.

Towarzystwo rozpowszechniania pożytecznych wiadomości zwróciło się do niej za pośrednictwem znajomego jej lorda Brougham, aby podjęła się opracować popularnie dzieło sławnego francuza Laplace: *Mecanique Céleste*, a ona zalękniona, niepewna sił

swoich, nie śmiejąca próbować ich publicznie, ledwo, że uległa namowom lorda Brougham i męża, i pod warunkiem tajemnicy, z myślą rzucenia w ogień rękopismu, skoro okaże się nieodpowiednim, wzięła się do pracy i oto co pisze:—„Wstawałam rano i starałam się tak urządzić z dziećmi i potrzebami domu, aby potem mieć już od południa czas wolny, co przecież nie dało się nigdy zrobić w zupełności. Mężczyzna może pod zasłoną interesów rozrządzać dowolnie czasem i sobą, ale kobiecie niepodobna jest tego otrzymać. Na Chelsea nie można było powiedzieć gościowi, że mnie niema w domu, byłoby przytem niepoczciwie odprawić odedrzwi kogoś, kto przybył tak daleko, jedynie dla zobaczenia się z nami. Niemniej przecież drażniło mnie to nieraz ogromnie, gdy w czasie największego natężenia myśli nad trudnem jakiemś zagadnieniem, drzwi się otwierały i jakaś znajoma odzywała się, wchodząc: — Przybywam dla przepędzenia z tobą kilku godzin.... Przyzwyczaiłam się jednak do tego i włożyłam niejako umysł, aby zatrzymany nagle na biegu jakiej myśli, wracał potem do tego samego punktu, jak gdyby to była książka, w którejbym umieściła zakładkę na miejscu przerwanem. Stało się to rzeczą tem potrzebniejszą, że mój gabinet do pracy był malutki i nie miał wcale ogniska, w zimie więc musiałam pisać w pokoju bawialnym. Gdy dzwonek oznajmił gości, trzeba mi było chować prędko papiery, aby nikt nie wpadł na trop tajemnicy“.

Córka dopełnia tego obrazu, wykazując, że nietylko goście, ale przy szczupłem pomieszczeniu niezamożnego już gospodarstwa i obowiązki rodzinne, mocno przeszkadzać musiały pracom uczonej kobiety. Ale nic z tych obowiązków na bok usuniętem nie zostało i matka i żona nie wytrąciła z nich nic na korzyść autorki. Silny umysł wzniósł się nad przeszkody i Marta Somerville pisze:—„Matka moja posiadała szczególną potęgę abstrakcyjną. Była zdolna zajmować się najtrudniejszemi zagadnieniami wyrachowaniami astronomicznemi przy naszych gamach i solfeggiach. Nazywałam to jej specyalną zdolnością i było tak rzeczywiście. Przez wyrobienie tej władzy stała się najzupełniej niezależną od okoliczności zewnętrznych i zajęcia i prace naukowe nie wyrywały jej nigdy z koła rodzinnego. Jak już wspomniałam wyżej, matka nasza uczyła nas—mnie i siostrę — od najpierwszego dzieciństwa po kilka godzin dziennie, gdy zaś lekcye się skończyły, nie wysyłała nas nigdy od siebie i pozostawałyśmy zawsze u niej uczyć się głośno gramatyki, arytmetyki i tym podobnych plag dziecinnego wieku. Ten tylko, kto sam zgłębił przepaść wyższych wyrachowań matematyki i zaciekań umiejętnościowych, zrozumie jakiem może być rozdrażnienie tego, komu w chwili krytycznej uchwycenia długo szukanego rozwiązania, głos dziecinny zada pytanie w przedmiocie koniugacyi lub tabliczki mnożenia. Matka nasza nie okazała się przecież nigdy niecierpliwą, tłómaczyła nam nasze małe trudności szybko i żywo i spokojnie wracała do swych ważnych myśli. Nie cierpliwiła się w jednej tylko okoliczności: gdyśmy były nieuważne lub mało pojętne. Martwiło ją to i bolało bardzo żywo“.

Taką była uczona pisarka wśród rodzinnego koła, wśród jego trudów i prac mozolnych, co jednak nie zwichnęło jej karyery, nie stanęło przeszkodą na jej nowej drodze. Opracowanie francuzkiej książki stało się pod jej piórem dziełem najzupełniej oryginalnem, opartem tylko na systemie Laplace'a, który objaśnia i dla szerszego koła czytelników przystępnym czyni przez dodanie figur i formuł matematycznych, których nie podał Laplace, jako rzecz mniej potrzebną dla wyższego koła uczonych czytelników. Niepewna siebie poddała rozbiór rękopismu sądowi Johna Hershel, umocowanemu do tej czynności przez towarzystwo, które powierzyło Maryi napisanie dzieła i w pamiętniku pisze:—Byłam przez cały czas tego egzaminu niesłychanie nerwowa i wzruszona wewnętrznie, ale też za to uczułam się potem tak szczęśliwą i zadziwioną razem!

John Herschel napisał: „Zostawisz pani potomności rzecz niepospolitej wartości, a przyniesie to osobie pani coś więcej jeszcze nad sławę, bo przekonanie, żeś dokonała dzieła użytecznego“.

Dzieło to pod tytułem: *The mechanism of the Heavens*, wyszło w 1831 r od tej chwili kobieta niepospolita staje się nagle kobietą sławną. Wszyscy znakomici ludzie, wszyscy uczeni astronomowie i przyrodnicy, nietylko angielscy, piszą do niej listy, a nawet poezye, 750 egzemplarzy książki zostały natychmiast rozkupione w uniwersyteckiem mieście Cambridge, *astronomicze towarzystwo Londyńskie* obrało ją członkiem swoim. Francuzka *akademia umiejętności* wydelegowała uczonego swego członka, Biot, do zdania sobie sprawy z dzieła, i składając wstępne jego autorce sprawozdanie z faktu, obrała ją również członkiem swoim i kazała jej przesyłać roczniki akademii, zaszczyt wyświadczany tylko najuczeńszym i najsławniejszym. To samo spotkało ją w Anglii ze strony *towarzystwa astronomicznego*; „Greenwich Observations“ zostały jej komunikowane, a w skutek uchwały towarzystwa popiersie jej umieszczono w sali zebrań. Obrano ją również członkiem akademii Dublińskiej; członkiem Bristolskiego filozoficznego instytutu; członkiem akademii nauk fizycznych w Genewie, geograficznego i statystycznego towarzystwa w Nowym Yorku, amerykańskiego filozoficznego towarzystwa w Filadelfii; a z biegiem lat, wszystkie prawie uczone instytucye świata w kierunku nauk matematycznych wyświadczyły jej ten zaszczyt.

Otrzymała od rządu pensyę dożywotnią, którą królowa wyznaczyła z funduszów swej listy cywilnej, co w połączeniu z zyskiem za literacką produkcyę, wyniosło po nad wszelkie braki i dało możność spokojnego i wygodnego istnienia. Otoczona nowym i niespodziewanym dla siebie blaskiem sławy i szerokiego jak świat rozgłosu, Marya pisze: „Ci z naszych krewnych i znajomych rodziny, którzy niegdyś sądzili mnie tak surowo i usiłowali ośmieszyć, oniemieli z podziwienia nad nagłem powodzeniem i dziś najgłośniej wynoszą moje przymioty“. Całą rozciągłość tych przymiotów umieli oceniać inni. Mistress Marcet, uczona też kobieta i pisarka dla młodocianego wieku, której *Rozmowy o Chemii* miały podług wyznania sławnego chemika Faraday, otworzyć niejako jego młody umysł dla nauki, w której potem stał się znakomitością, tak pisze do Maryi po wyjściu drugiego z kolei jej dzieła: „The connection of the Phisical Sciences“— „Wielkie zaszczyty spadają na ciebie, droga przyjaciółko, ale powinno ci to być droższą nad wszystko rzeczą, co przez ciebie spływa na całą płeć twoją. Ze zdolnością i siłą męzkiego gieniuszu łączysz najprawdziwszą kobiecość, bo uczuciowość i skromność, która pokazuje ludziom, że taki związek przymiotów jest możliwym“.

Wspomniane dzieło: „*The connection of Phisical Sciences*“, które Humboldt w liście do autorki nazwał filozofią nauk fizycznych, wyszło w trzy lata po pierwszem i zyskało podobne pierwszemu powodzenie. Do roku 1853 miało dziewięć wydań, co dowodzi dostatecznie wartości książki i pracowitości tej, która ją pisała, każde bowiem wydanie, niemniej jak i *Geografii fizycznej*, która ich miała sześć, było nowem opracowaniem, dokonanem na podstawie postępu nauk i odkryć świeżo poczynionych. Nie brakło do tego autorce, sytej już chwały i zaszczytów, ani chęci, ani siły, choć po wyjściu pierwszej książki zachorowała mocno. Praca umysłu, który łamał pierwsze trudności, a może i wzruszenia różnorodnej natury przyczyniły się do tego, iż organizm kobiecy uległ na chwilę. Ale był to jakgdyby moment przełomu: naruszona równowaga wraca prędko i od tej chwili życie Maryi płynęło już jak spokojna i szeroka rzeka, cicho a głęboko. Nauka, rodzina i życie towarzyskie w najlepszem znaczeniu tego słowa, dzielą je między siebie, a bieg czasu zdaje się tracić swoje zwykłe prawa dla genialnej kobiety. W miarę wieku przecież pobyt we Włoszech zdaje się być potrzebą jej zdrowia i wracająca tam coraz części rodzina osiada nakoniec stale na półwyspie włoskim, bawiąc to we Florencyi, to w Rzymie, to w Neapolu, który też był ostatniem miejscem ziemskiego pobytu Maryi.

(Dokończenie nastąpi).

NIEWIASTA POLSKA

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Życie Jaraczewskiej.—Talent.—Działalność.—Uciechy niespodziewane. — Zofia i Emilia pierwsza Jaraczewskiej powieść.— Cel główny tego utworu.—Założenie autorki. —

„Mieszkanie jej na wsi choć chędogie, miłe, podobnem było niekiedy do szpitala, wszyscy bowiem chorzy z jej włości, a często nawet i z obcych przychodzili lub przysyłali, prosząc o lekarstwa i wsparcie, których nie odmawiała nikomu.

„Obwodowy doktór zgodzony rocznie, objeżdżał raz w tydzień wszystkich jej włościan, a gdy tego potrzeba wymagała i gwałtowniejsze grasowały choroby, nie tylko bywał codziennie, ale i innych z okolicy doktorów i lekarzy przywoływano.

„Prócz tego, była jeszcze i domowa *apteczka*, zawierająca wszystkie lekarstwa, jakich tylko zapotrzebować można w nagłych przypadkach i początkowych słabościach.

„Lecz nie na tem ograniczała się dobroć Jaraczewskiej, Wiedziała ona o tem, iż jedynie uprzejmość serca umila dar ręki i że biednemukażde słowo staje się pociechą, każdy dowód troskliwości, dobrodziejstwem. Sama przeto odwiedzała i pielęgnowała chorych, nie obawiając się częstokroć najniebezpieczniejszej zarazy i osładzając nieraz umierającym ostatnią z życiem walkę, odmawianiem tkliwych i z serca płynących modłów. Czynna jej i przemyślna dobroć, umiała każdej chwili nadać użytek i wszystkie nawet rozrywki w dobre przeistaczać uczynki. Celem prawie codziennych jej przechadzek, było rozwożenie lekarstw cierpiącym, pożywienia głodnym, wsparcia potrzebnym, pomocy i radości wszystkim.

„Na dowód, iż życie odosobnione, ciche, pożyteczne, dobroczynne, lepiej jeszcze przechowuje świeżość i żywość wyobraźni, niż roztargnienie światowych zabaw, czas ten poświęcony ciągle przez Jaraczewską wypełnianiu najszczytniejszych cnót chrześcijańskich, był oraz epoką objawienia się jej pisarskiego talentu, który w dojrzalszym już wieku, od razu świetnym zajaśniał blaskiem. Zbyt tkliwa, zbyt może drażliwem obdarzona uczuciem, zbytnie czuła na wpływ potocznych, choćby najdrobniejszych okoliczności, niezdolna przytem przepomnieć minionego smutku, ani się nie trapić przewidywanem zmartwieniem, póki młodszą była, nie mogła dosyć przytłumić nieustannego odmętu w sobie, ażeby skreślić wyrazami zbyt obfite wrażenia i myśli. Lecz gdy się jej życie niejako urzeczywistniło i uspokoiło, nie tak lat napływem, jak raczej ciągłem poświęcaniem się celowi wyższemu, ponad kłopotliwe drobnostki tego świata, ogień trawiący jej wyobraźnię, w błogie zamienił się światło, a zbyt gorące uczucia, w ożywione obrazy.

„Wady i śmieszności rażące ją dawniej w ludziach, stały się wówczas zajmującym przedmiotem uwag życzliwych. Przedsięwzięcie pisania nie pochodziło w niej z chęci wsławienia się, ani tworzenia urojonych marzeń, ale jakby z potrzeby przypomnienia sobie i opowiedzenia drugim, słyszanych i widzianych wypadków. To, co się zaś w jej pismach moralnego i nauczającego znajduje, nie było tyle skutkiem rozmyślnej dążności, jak naturalnym połyskiem jej duszy. Użyteczność wypływała z jej pomysłów, jak woda wytryska z łona ziemi, jak powietrze krzepi i orzeźwia, jak świeci i ogrzewa słońce. Przyrodzoną jest bowiem cnotliwych istot własnością, że lubo się nie zajmują wrażeniem, jakie sprawują na drugich, każdy ich czyn jest wzorem, każde słowo nauką, każde odezwanie się, lepszego świata oddźwiękiem.

„Straciwszy już wtedy wzrok prawie zupełnie, w skutek niepohamowanego niegdyś oddawania się czytaniu, zmuszoną była przyjąć sekretarza, które-

mu dyktowała, wysnuwające się z jej wyobraźni powieści; ale ten nie mógł nigdy wydążyć, gdyż dyktowanie było zawsze jakby nieustannem i szybko rozwijającem się opowiadaniem. Konieczne zaś przerwy, wynikające z niepodobieństwa pisania z takim pośpiechem, rodziły w rozpromienionej wyobraźni autorki tysiące myśli i porównań, których żadne pióro, jakkolwiek skore, schwytać i skreślić nie zdołało i tych część największą w przepisywaniu, opuszczać trzeba było. Nadzwyczajna ich mnogość przeciążała przejrzystość jej utworów, jak zbytnia obfitość kwiatów i owoców, wysila urodzajne drzewa".

„Najpierwszą Jaraczewskiej powieścią jest: *Zofia i Emilia*; dyktowanie tego dziełka zabrało jej tylko trzy tygodnie, a jednak postępowała na przód nieśmiało, w tym pełnym dla niej rozkoszy zawodzie. Podług nagannego większej części dam polskich zwyczaju, nie nawykła była do pisania w rodowitym języku, musiała więc z razu, sama siebie przetłumaczać. Lękała się także owego pierwszego pojawienia się w świecie literackim, niepewna uprzejmego przyjęcia, a chęć powstrzymania uskrzydlonej wyobraźni, nadała może temu pierwszemu utworowi, cechę jakowejś poważnej układności, wpośród której odbijają się atoli świeże obrazy, trafne spostrzeżenia i pełne tkliwości ustępy. Wtedy otworzyło się dla naszej autorki nowe i uroczyste życie i wtedy nawet jej szczęście uzupełnionem zostało, tak jak żeby świat w jej duszy odbity, rzeczywistością był dla niej, a życie istotne, snem tylko przemijającym. Wrodzona jej dobroć jedynie ją skłaniała do uczestniczenia w zajęciach i rozrywkach otaczających ją osób. Ale je tylko podzielała sercem i dobrocią, myśl jej bujała w krainie marzeń.

„Dyktowała zwyczajnie bez przerwy, ale i bez natężenia umysłu, od dziesiątej zrana do obiadu, po obiedzie do wieczora, a nigdy jedna osoba nie nastarczyła pisać, bo Jaraczewską odpoczynek tylko męczył".

Dotąd użyliśmy słów Ludwiki Ossolińskiej, zbliżonej do naszej autorki.

„*Pierwsza młodość i pierwsze uczucia*", powieść większego rozmiaru, wydaną była roku 1829 w Warszawie. Dzieło to najupodobańszem było dla samej autorki utworem, nazywała je zwykle: „testamentem swego rozumu i serca", jakby przeczuwała zgon swój niedaleki. Jakoż w rok później nieprzewidziane wypadki rozdzieliły Jaraczewską z mężem. Rozłączenie to boleśnie zraniło jej serce, a trapiona wewnętrzną obawą o los i życie jedynego przyjaciela, przerwała zawód pisarski.

Skończyło się to co było jedynem wśród jej kalectwa ślepoty szczęściem: przestała bujać w krainie marzeń, tworzyć świat i ludzi, aby malować je w powieści i teraz niepewnością dręczona, smutnem przeczuciem złamana, łzą, westchnieniem bolesnem i modlitwą zapełniała samotne godziny. Zamieszkała właśnie w Krakowie, gdzie i przed zamężciem kilkakrotnie przebywała, gdy odebrała wiadomość, że jej mąż umarł nagle, dotknięty cholerą.

Cios ten był nad siły; iskra życia przygasać zwolna zaczęła, wewnętrzna tęsknota rozdzierała jej serce. Dotknięta wkrótce nieuleczoną chorobą raka w piersiach, gotowała się jako prawa chrześcijanka na cierpienia i bóle, nie odłączne od tej straszliwej słabości. Ale Bóg się ulitował i skrócił jej męczeństwo, nerwowa gorączka przerwała raptownie jej życie.

Zgasła dnia 28 września, 1828 roku.

Zawód literacki był dla Jaraczewskiej niewyczerpanym skarbem radości. Z nieśmiałością prawie dziecięcą wstąpiwszy w te szranki, niewprawna we władaniu ojczystym językiem, po wydaniu pierwszej swej powieści *Zofii* i *Emilii*, przybyła do Warszawy. Ukrywszy starannie swoje nazwisko, cieszyła się przychylnością owoczesnych krytyków, którzy na ten utwór zwrócili swoją uwagę, nieszczędząc pochwały; wszakże więcej jej przyjemności zrobił szczególny wypadek.

Przechodziła przez *Krakowskie-Przedmieście*. Szedł naprzeciw niej nieznany młody człowiek, zatopiony w książce dopiero co kupionej. Na twarzy jego żywe malowało się zajęcie i w skutku zapewne takowego, nie spostrzegając nadchodzącej z przeciwnej strony Jaraczewskiej, potrącił ją niechcący i omało nie wywrócił. Wstrzymała się i spojrzawszy mimowolnie w czytaną tak namiętnie książkę, poznała swoją powieść *Zofia i Emilia*. Trudno sobie wyobrazić, jak ją ten mały wypadek ucieszył i z jakiem upodobaniem opowiadała go mężowi i bliższym swoim, przed którymi nie robiła tajemnicy ze swego autorstwa.

„Drugi raz znowu (pisze Ludwika Ossolińska), będąc na wsi, gdzie prawie powszechnie przyjętym na prowincyi zwyczajem, daleko liczniejszy dwór miała, aniżeli tego wygoda i potrzeby wymagały, mając wieczorem jakiś rozkaz do wydania, kazała zawołać jednego z swych ludzi, lecz go nie było w przedpokoju. Wymieniła drugiego, nie było go także, trzeciego—toż samo, chłopców nawet służących przy kredensie nie było. Zdziwiona nieco i zafrasowana tem pospolitem ruszeniem, kazała poszukać zbiegów i znaleziono ich wszystkich zgromadzonych w kuchni przy stole, w około kucharza, najbieglejszego z pomiędzy nich literata, który z wielkiem zadowoleniem całego grona, czytał głośno: *Wieczór adwentowy*, (drugą z porządku powieść Jaraczewskiej). Była to druga chwila prostodusznej radości i każdy to wyrozumie, że autorka snadnie panią domu przebłagała".

Kiedy Opatrzność dotknęła ją najsroższem kalectwem, bo utratą wzroku, miała jedyną w życiu: (jak pięknie wyraziła Ludwika Ossolińska), „tak wydziedziczonem ze szczęścia na ziemi, tak pożytecznem dla ludzi, tak pełnem zasług dla nieba", jedyną osłodę w talencie swoim pisarskim.

Świat rzeczywisty oddzielił się od niej czarnym, nieprzejrzanym kirem, który padł na jej oczy, ale równocześnie świat inny zajaśniał w rajskiem przezroczu, w który chciwie się wpatrywała oczyma duszy i żywo bijącego serca.

Ostatnie chwile dogasającego życia, długo bo rok cały trwające, były prawdziwem męczeństwem dla Jaraczewskiej. Złamana ciosem utraty tak ukochanego męża, nieszczęśliwa wdowa, dotknięta przytem boleściami nieuleczonej choroby, wyrzec się musiała najmilszego zawodu literackiego, który jej tyle rozkoszy dawniej przynosił.

Teraz bujna wyobraźnia, która rozwijała sokole skrzydła tak swobodnie, musiała je zwinąć, skrępowana powijakami serdecznej żałoby; a myśl, dumała tylko o samotności sierocej, z pragnieniem co rychlejszego odpoczynku w grobie.

Nie zgnębiła jej starość jak autorkę *Malwiny*, bo w czterdziestym roku życia zstąpiła do mogiły, kiedy się jej w dojrzałości wieku, szerokie pole otwierało do pracy tak umiłowanej, a zawody jakie stawały w początkach autorskiego zawodu, już nie istniały, bo je zwyciężyła, jak zobaczymy, przy ocenie jej utworów.

Pierwsza powieść Jaraczewskiej: *Zofia i Emilia*, wyszła we dwóch tomikach, 1827, w Warszawie, na bibulastym papierze drukowana, jak zwykle wówczas wydawano książki, nie dbając o zewnętrzną ozdobność typograficzną.

W *przedmowie*, po przyznaniu się szczerem do nieumiejętności pisania w ojczystym języku, tłumaczy się zarazem „że malując przywary wszystkim ludziom właściwe, żadnej okolicy szczególnie, żadnego stanu, żadnego nareszcie osobistego charakteru, określać nie miałam na celu".

Cała treść jednak tego utworu jak i wprowadzone postacie pokazują, że czerpała z żywych wzorów, może nie jednostek, ale z kilku egzemplarzy, które się jej nawijały pod oczy, lub w pamięci pozostały.

Autorka *we wstępie* cel swej powieści sama podaje:

„Najpożyteczniejszy sposób (pisze) udzielenia swego doświadczenia, jest częstokroć wyjawienie, jakim sposobem się je nabyło. Do tego, każdy zwykle mniej więcej uderzony jest w życiu oczywistością jakiejś prawdy moralnej, którą w każdej ważnej okoliczności przytacza i stara się drugiemu dowieść. Ta, nad którą najwięcej się zastanawiałam i o której najlepiej sądzić mogę, dotycze kobiety: przekonana jestem, iż błędny kierunek nadają pospolicie w Polsce wychowaniu naszej płci, którą w nadto poetycznym względzie za *płeć piękną* uważając, jak płonny kwiat troskliwie tylko pielęgnują, mało starając się nadać tej roślinie mocy i użytku; tak, jakby tylko do bukietu lub nietrwałego wieńca przeznaczona, do użytecznych krzewów nie należała rzędu. I tak najczęściej u nas, najpierw myślą o rozwinięciu zwykłych tej płci powabów; potem, o nadaniu jej powierzchownego wdzięku, ale nie istotnej podpory prawdziwych talentów; nareszcie starają się o zakończenie jej krótkiego i błahego zawodu jakiem korzystnem małżeństwem, jak gdyby ten święty związek, nie był przeciwnie, istotnym tegoż zawodu początkiem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SOFONISBA

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

Emanuela Geibla

przełożył z niemieckiego

Józef Grajnert.

(Dalszy ciąg).

Scena 4.

Sofonisba.—Batu.—Potem Massynissa.

BATU

Pani! twój smutek niech padnie w otchłanie
Dziejów minionych, oto wschodzą zorze
Dobrej nowiny! Pociesz się.

SOFONISBA

Cóż w stanie
Jesteś mi przynieść, co mnie cieszyć może?

BATU

Jeszcze nam chętne bogi z wysokości!
Odkąd nas ciężki los więzienia gniecie,
Jam wciąż szpiegował jak sęp, i mam przecie
Drogę ucieczki. Tylko nam śmiałości
I cichych kroków trzeba, a tej nocy
Umkniem ztąd jeszcze—

SOFONISBA

Nie można!

BATU

Przeciwnie,—
Wpierw mię wysłuchaj, a wyjdziesz z przemocy
Zwątpień na drogę męztwa. Już nam dziwnie
Miejscowość sama pomaga. Gdzie leży
Obozem Scypio, tam Massylis stała
Niegdyś z królewskim zamkiem, lecz zgorzała:
Gniewny Hamilkar, w tę wojnę żołnierzy
O żołd, ją spalił. Znam to miejsce, pani;
Dzieckiem, po gruzach stokroć się drapałem,
Aż się znalazłem raz w ciemnej otchłani,
Co jak podziemny labirynt, pod całem
Zamczyskiem biegnąc, przez godzinę drogi
Wiodła mnie w góry. Jakże chwilom owym
Dziś błogosławię! Bo znów dobre bogi
Ten otwór, co jest w kręgu obozowym,
Dały mi odkryć pewnemi znakami.
Przystęp, zarosły wysoko chwastami,
Ma sporą szparę w murze starym, niby
Ślad wodociągu,—że zaś jest tam steczka,
Nikt nie przeczuwa. Nasza więc ucieczka
Przeszkód nie dozna. Łatwo, bez ohyby
Dosięgniem wejścia osłonięci nocą,
I ztąd daleko, za bogów pomocą
Pomkniemy w góry, nim kogut zapieje.

SOFONISBA

Niepodobieństwo, mówię.

BATU

O, w zwątpieniu
Duszy mej nie grąż, gdy się szczęście śmieje
Tak niespodzianie! Na mem doświadczeniu
Polegaj śmiało! Pewniejszym swej drogi
Nie jest i sternik wśród morskich bezdroży,
Gdy mu latarni blask już błyska błogi.

SOFONISBA

Wierzę, a jednak—

BATU

Jednak?—Jeszcze srożej
Chcesz cierpieć? Czyli już szpik twoich kości
Nie schnie w tęsknocie wiecznej do wolności?
A z modrych niebios, gdy promień gromowy
Spływa, by stopić ciężkie twe okowy,
Ty możesz zwlekać?

SOFONISBA

O, gdy była pora,
Czemuś tak nie rzekł! Jeszczeby mi wczora
Twe słowa hasło zbawienia przyniosły;
Lecz nie dziś.

BATU

Nie dziś? Jakto?

SOFONISBA

Bo wolności
Wszedł w drogę honor. Ten Rzymianin wzniosły
Dar mi królewskiej powierzył ufności.
Zwieść go nie mogę.

BATU

Ha, chytry! Znał ciebie,
Wiedział, że żadna nie zmoże cię trwoga,
Więc zagrał w piosnkę szlachetną w potrzebie,
I złapał cię w sieć. Nie, nie, ciebie pani
Łatwo oślepić jemu się nie uda.
Bogowie ślą ci pomocnicze cuda,
I ziemia głąb' swej otwiera otchłani,
By cię wyzwolić—a ty w omamieniu,
Gardzisz, niewdzięczna, pomocą w zbawieniu?
Pani!

(Klęka błagając)

SOFONISBA

Wstań! uciec nie mam już *możności*.
Lecz to zdarzenie wielbię. Jam się cała
Zgnębioną czuła w jego obecności,
Wzniosłym umysłem jego tak zwątlała;
Teraz oddycham znów, bo z własnej woli
Spłacam go również.

BATU

Niechże w twej niedoli
Bóg ci pomaga! O, ten mąż wspaniały
Da ci się poznać tam w Rzymie, wśród chwały,
W dzień wjazdu, kiedy spętanej powrozem
Z kobiet punickich najpiękniejszej każe
Za swoim kroczyć tryumfalnym wozem,
I bosą, tłumom ciekawym okaże.

SOFONISBA

Domysł niegodny!

BATU

Wierzysz tygrysowi!
Dziś dla swych celów rzecz ułożył z góry:
W chytrej zabawce podwinął pazury,
Pewien, że zdobycz, kiedy zechce złowi,
Czatując na nią. Wierz mi, prędzej pono
Dumneby swoje wolał rozpruć łono,
Serce pokrajać, rzucić ci pod nogi,
Niż k'woli ciebie zmiękczyć umysł srogi,
I choć cień z tego w ofierze postradać,
Co mu w tryumfie blask ma większy nadać.
Czyż mąż w wawrzynach o jęki się pyta
Branki, gdy naród nad Tybrem go wita?
On właśnie uwić pragnie wieniec z twojej
Niedoli.

SOFONISBA

Wierz mi, on o tem nie roi.

BATU

Każdy Rzymianin tak roi od wieku.
Wiem to z ust jego.

SOFONISBA

Ty kłamiesz, człowieku!
On miałby tobie—

BATU

Ot, było to wczora.
Z bramy obozu wszedł w przywódców koło,
A jam stał blizko. Dziś dopiero pora,
Mówił, tryumfem w Rzymie zdobić czoło,
Gdy ciebie w jego Bóg napędził dłonie.

SOFONISBA

Nie! słów tych nie rzekł—
(Wchodzi Massynissa)

BATU

Tego spytaj o nie!
Był tam obecny.

MASSYNISSA

Wybacz mi—

SOFONISBA

Na dobie
Przychodzisz do mnie. Daj pokój wszystkiemu!
Jedno pytanie tylko zadam tobie.
Tu o me życie chodzi. Czy mam temu
Wierzyć starcowi, wierzyć w doniesienie,
Że wczoraj Scypio—nie, to omamienie—
Że mówił o mnie—o tryumfach w Romie?
Mów? Daj odpowiedź. Milczysz nieruchomie?
Czy mówił?

MASSYNISSA

Mówił.

SOFONISBA *(z wykrzykiem)*

Och!
(Zasłania się.—Chwila milczenia.—Odsłania się znowu).

MASSYNISSA

Bóstwa litości!
Co ci jest? Lica twe trupiej bladości,
A ręka jak lód.—O, nie patrz zdrętwiale
W tę straszną próżnię!

BATO

Zbierz siły! Stłum żale,
Na wszystko, co ci jest świętem, królowo,
Rozkazuj burzy!

MASSYNISSA

Czyż złowieszcze słowo
Ust mych, tak mogło głęboko....

SOFONISBA

Precz z wami!
Precz! Obłudnemi nie dręczcie licami.
Ja krokodyli, wężów postać wolę,
Tęsknię do wycia krwiożerczych szakali.
Tam tylko prawda. Co na ludzkiem czole
Jest napisane, to kłamstwo!

MASSYNISSA

Azali
Cny duch twój tak się błąkał!

SOFONISBA

O, demony
Zatarły cechy świata! Zwielmożniony
Boski majestat na brwiach bohatera
Nikczemność chytrych wszetecznie przybiera.—
Pokłon ich złudny, uśmiechy udane—
To z wierzchu jabłko Sodomy różane
A wewnątrz zgniłe!

BATU

Oszczędzaj się, pani!

SOFONISBA

Hyena w oczach fałsz nam swój odkrywa;
Obmierzłym kształtem ropuchy ścigani,
Jad jej mijamy.—Ale któż uwierzy,
Że przemoc pychy z najszczerszej odzieży
Prawdę okrada dla igraszki pustej!
Och, dobroć w każdem jego była słowie,
Współczucie w każdym ruchu, swemi usty
Serce me nęcił; w jego dźwięcznej mowie
Tyle pociechy, że gniewna ma dusza
Jak pod urokiem pieśni Orfeusza
Zasnęła, a krew stłumiła wspomnienia
Krwi Hannibala.—Gdybyście te brzmienia
Słyszeli, w zakład życie byście dali,
Że myślał szczerze. A jednak on skrycie
Fałszem mnie obwiał, by na pewno w matni
Niecnie mię splątać,—był to ten ostatni
Okruch, jaki się zwierzom w klatkę wciska
Nieczule, w przeddzień krwawego igrzyska!
Dobrze! niech spełni swą wolę! Ludzkości,
Żegnaj! Ja mam już tygrysie wnętrzności,
Ja zemsty łaknę, zemsty!

BATU

Ten gniew strawi
Księżno, twą duszę.

SOFONISBA

A no! Niech to sprawi!
Umrę w płomieniach.—Nie, precz z myślą wstrętną
Czynów tchórzliwych!—Massynisso, tobie
Mam zwierzyć słowo.

(Chwyta za dłoń Massynissę i prowadzi go naprzód. Batu oddala się),

---

Scena 5.

Sofonisba.—Massynissa.

SOFONISBA

Miłość twa pamiętną
Jest mi. Swych przysiąg dowiedź mi na dobie.
Zjednania łakną piersi mych katusze.
Idź, spełń konieczność!

MASSYNISSA

Na potęgi boże!
Czy twą rozumiem, Sofonisbo, duszę?

SOFONISBA

On nie powinien żyć.—Idź więc!
(Massynissa milczy i czyni odmówne poruszenie)
Drżysz może?
Odmawiasz?

MASSYNISSA

Rządź się środkami ludzkiemi!
Te nad me siły.

SOFONISBA

Ostatnie-ż to słowo?

MASSYNISSA

Ostatnie—
(Przerwa)

SOFONISBA

Dobrze!—Idź za gwiazdy swemi!
Znam już koniec.
(Daje mu znak do odejścia)

MASSYNISSA

Głos twój drży, królowo,
W oczach twych ogień gorączki się pali.
Mogę-ż cię odejść?

SOFONISBA

Spokojną się czuję.
Spokojną, jako pustynia, gdy w dali
Samum już huczy.—I cóż cię wstrzymuje?
Rzekłam ci: my już z sobą rozbratani.
Bądź zdrów!

MASSYNISSA

Zbłąkana-ś!

(Odwraca się i odchodzi, lecz u wyjścia zwraca się nagle)

Nie *wzgardzaj* mną, pani!
Twój szał przeminie.

SOFONISBA

Daj sobie powiedzieć:
Tyś jest *ty*.—Bądź zdrów!

(Massynissa osłoniwszy się, wybiega)

Scena 6.

Sofonisba.—Potem Batu.

SOFONISBA *(sama)*

Mogłam o tem wiedzieć.
Mnie się, tchórzliwej, ciężar zwalić chciało
Na obce ramię. Ramię się złamało.
O! sprawiedliwe zrządzenia są boże—
Na moje barki—czyn okropny kładą.
Mój zapał dla mnie samej stał się zdradą—
Więc, mszcząc się, ja go własną dłonią złożę
Bogom ojczystym na ofiarę krwawą.

(Przebiegłszy przestrzeń namiotu, zwraca się ku drzwiom zasłoniętym)

Batu!

BATU *(zjawiwszy się)*

Wołasz mnie, królowo?

SOFONISBA

Podobno
Dwa tam są wyjścia, na lewo i prawo?
Wszak tak?

BATU

Tak, każde prowadzi osobno
Pod ziemią; z lewej, wprost jest wyjście w górę.

SOFONISBA

A z prawej?

BATU

W zamku spustoszałe mury,
Gdzie obóz Rzymian.

SOFONISBA

A czy ztąd daleko
Do wodociągu?

BATU

Sto kroków, nad rzeką.

SOFONISBA

A straże są tam?

BATU

Tylko obozowej
Bramy pilnują.—

SOFONISBA

Dobrze! Bądź gotowy!
W północ, gdy ołów snu im oczy zmoże,
Razem to miejsce opuścim złowieszcze.

BATU

Słucham z rozkoszą!

SOFONISBA

Idź zająć swe łoże!
W północ mnie znajdziesz tutaj!—Jedno jeszcze!
Sztylet Syfaxa daj mi. Wszak on wszędzie
Ma być mi stróżem.

(Batu podaje jej sztylet i odchodzi na jej skinienie)

Pójdź, śmierci narzędzie!
Królowi-ś służył; i królewskie tobie,
Gdy Bóg dozwoli, łoże przysposobię.

Koniec aktu czwartego.

HISTORYA
O JANASZU KORCZAKU
I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNIE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Kilku z ordy stoczyło się rażonych na dół. Zdawało się, że między sobą zaczęli zwadę, a znaczniejsza część pierzchnęła ku prawej stronie. Tu także toczono na nich kamienie. Gromada spędzona z pierwszego dziedzińca rozbierała budynki, wyjmowała bruk, chwytała co było pod ręką.... Orda, która płynęła jeszcze, po strzale z moździerza rażona zaczęła się cofać napowrót, zostawiając tych, co byli pod zamkiem, samych. Dano powtórnie ognia. Dzicz nieśmiała już drapać się na górę, ale oblegała wybrzeże szarpiąc się bezsilnie. Dzień, który wstawał, czynił jej położenie coraz niebezpieczniejszem. Moździerz nabity na nowo, wystrzelono raz jeszcze. Popłoch się zwiększał, lecz z innych stron Tatarzy opasywali także zamczysko, mianowicie od przekopu, który widocznie przejść chcieli, aby się dostać do pierwszej bramy. Ta już była wprawdzie jakokolwiek zatarasowaną i obronną, ale zdobycie jej łatwiejsze niż wdrapanie się na mury. Kilku ludzi z piętra strzelało do pełznących przez wąwóz, prawie nadaremnie, liczba ich coraz się zwiększała. Wreszcie i ci, którzy przez staw się dostali a z przeciwnej strony stracili nadzieję wdarcia się na mury niepostrzeżeni, teraz biegli prawym brzegiem, aby zająć bramę, nie było sposobu obronienia jej. Jabłonowski z przerażeniem, ledwie uspokoiwszy się o jedną połać, wpadł na górne piętro pierwszej bramy i tuż pod nią zobaczył tłum Tatarów; z wszystkiemi siły trzeba było teraz przenosić się tu, gdzie niebezpieczeństwo było najbliższe. Śmigownica wczoraj na dalszą wymierzona metę posłużyć tu nie mogła, bo Tatarowie byli u stóp samych wrót, i bili w nie kamieniami, siekierami, drągami. Z okien zaczęto strzelać i rzucać cegłę, gruz, bruk.... a głównie pozostałe od wczorajszego pożaru.

Niewiele to wszakże pomagało, bo rozwścieczona obroną dzicz.... po trupach poległych parła się i cisnęła ku wrotom, które nie długo wytrzymać mogły. Jabłonowski obrachował już, że dolnego zamku obronić nie będzie w stanie. Zdało mu się koniecznością ograniczyć na górnym. Natychmiast śmigownicę kazał przenosić na górny, a gromadzie nieszczęśliwych chronić się za drugie wrota. Pierwsze tymczasem ludzie zamurowywali kamieniem, który ze spalonego noszono budynku.

Grożące niebezpieczeństwo podwajało siły. Płacząc i rozpaczając pomagali wszyscy aż do dzieci. Wozy, mienie wszelkie, starcy, kobiety zaczęły już zalegać ciasne podwórko górnego zamku. Miecznikowa dostrzegła to i zrozumiała, że niebezpieczeństwo się wzmogło. Uścisnęła córkę, pomodliły się w milczeniu i zeszły obie aby i swoje ręce ofiarować tam, gdzie ich brakło, a nadewszystko serca mężne i myśl nieustraszoną.

Żudra nie mówił słowa, dźwigał, kierował, nabijał broń, dozorował, i czując, że na drugich wrót obronie teraz najwięcej zależeć będzie, jął się około ich opatrzenia. Musiano kamień przygotowywać dla zamurowania ich, gdyż łatwo podpalone być mogły. Dolny zamek stawał się co chwila puściejszym, pozostał na nim Jabłonowski ze swemi strzelcami tylko, i od czasu do czasu słychać było huk rusznic dających ognia, a po nim coraz wściekłejsze krzyki.

Dniało już jasno. Cały tłum Tatarów obrócił się na pierwsze wrota do góry zawalone kamieniami. Strzelano jeszcze, gdy podłożono ogień wielki pod nie i suche drzewo zaczęło się palić. Kamienie, któremi je przywalono, zagradzały jeszcze wnijście. Jabłonowski po ostatnim wystrzale ludziom się cofnąć kazał. Musiano uchodzić. Łatwo przewidzieć było, że gdy wrota przetleją, cała kupa kamieni runie na Tatarów, ale ich nie powstrzyma.... Kasztelanic dobiegał ze swymi ludźmi do drugich wrót, gdy z ogromnym hukiem ściana tu obaliła się, wrzask dał się słyszeć, milczenia chwila i z nową wrzawą dzicz, jak strumień błotnisty z gór, wlała się w pierwsze puste podwórze.

Chociaż ponieśli stratę znaczną, Tatarowie tryumfowali: zdało się im, że zamek był już zdobyty. Orda natychmiast rozpostarła się w podwórzu i poczęła pędzić na górny zamek. Mówiliśmy już że wnijście nań było osłonione budynkiem murowanym w którym mieszkali Dorszakowie. Wązkie przejście dzieliło mur drugi od niego. Na gmachu tym w nocy dach był spłonął. Ściany jego okrywały bramę nieco, niedopuszczały przybliżyć się Tatarom, ale z wierzchołka ich mogli razić strzałami znajdujących się w podwórzu ludzi, ściśniętych tak iż przejść między nimi było trudno.

Zaledwie Jabłonowski dopadł bramy i ludzie za nim się schronili na górny zamek, wzięto się do zamurowywania wrót w inny sposób, tak, aby spalenie ich nie zagrażało tej na prędce wzniesionej ścianie.

Kasztelanic był tak znużony i upokorzony tem, iż obronić się na dolnym zamku nie umiał, że padł we drzwiach targając włosy z rozpaczy.

Nie postrzegł nawet Miecznikowej, która stała nad nim, blada ale spokojna i zrezygnowana.

— Kasztelanicu—rzekła trącając go w ramię, to, co się stało, złem nie jest, jesteśmy w ciaśniejszym obrębie ograniczeni, ale w nim daleko bronić się nam łatwiej, i tu—Bóg łaskaw, obronimy się.

Te słowa niespodziane poruszyły Jabłonowskiego, który powstał na nogi z otuchą nową.

— Tak jest — zawołał — i ja mam nadzieję, lecz wszystko zależy od ludzi, i od tego, by im sił starczyło.

— Ludziom kazałam rozdać jedzenie, wódkę, wodę, ludzie są dobrej otuchy. Proch i kule są jeszcze.

— Mamy ich tyle, ile potrzeba na odstrzeliwanie się do wieczora, a szczędząc—do jutra.

— Tatarowie nie pozostaną tu dłużej — rzekła Miecznikowa, mam tę mocną nadzieję.

— A więc, na mury!—krzyknął Jabłonowski rzucając się ku bramie.

Śmigownicę ustawiano właśnie tak, aby na obronę wrót służyć mogła.

Wśród tego huku i zamętu, Janasz, którego złożono w izdebce na górze, przebudził się po śnie pokrzepiającym. Siedziała na straży przy nim Agafia, którą Jadzia uprosiła pocichu, aby go nie odstępowała. Myśli jej musiały być gdzieindziej, bo każdy wybuch i krzyk konwulsyjne w niej wywoływał drżenie. Biegała do okien, łamała ręce, siadała znowu przy chorym, wpatrywała się weń z politowaniem, a potem znowu zaczęła rzucać się po izdebce jak szalona. Z okna widać było twarze—wszystko co się w podwórzach działo. Agafia padła na kolana, postrzegłszy, że dolny zamek był zdobyty; twarz ukryła w dłoniach. Potem z zapasu dobyła nóż, który jej nigdy nie opuszczał, poprobowała jego ostrza i zaspokojona nieco zatknęła go znowu.

Janasz po wysiłku na dachu, który zdawał się mu odbierać resztę mocy, usnął był twardym jakimś snem nieczułym, tak, że nawet strzały i wrzawa przebudzić go nie mogły. Agafia spoglądając na zbladłą piękną twarz jego, kilka razy zwątpiła była o życiu i przykładała dłoń do jego czoła, przysuwała się ku niemu, aby przekonać się, że oddycha. Spał mocno i spokojnie—i ten odpoczynek zdawał się dziwnie go pokrzepiać, bo zlekka twarz się zarumieniła, aż wreszcie przebudził się, podniósł o swej sile, obejrzał i zebrawszy myśli zapytał Dorszakowej: co się działo?

Agafia nie śmiała mu powiedzieć o tem czego była świadkiem. Poruszyła głową, rozwarła ręce i milczała.

— Dosyć już tego odpoczywania, odezwał się Janasz — słyszę, że się bronią. Tatarowie są, trzeba iść w pomoc.

— Ale waćpan do progu nie dojdziesz — rzekła Agafia.

— O nie! czuję, że mi lepiej, rany się pozasklepia-

ły, krew nie płynie. Nie wyleżę w łóżku. Bądź pani tak miłosierną, daj mi się napić czego, coby mnie trochę pokrzepiło. Ja muszę, muszę iść, bądź co bądź.

To mówiąc postrzegł Korczak stojącą buteleczkę i kubek, sięgnął po nie sam, wychylił i skinął głową prosząc Dorszakowę, aby do sąsiedniej izby wyszła. Nie mogąc mu się oprzeć, posłuchała. Janasz przeżegnał się i ubierać począł. Gorączka zupełnie była ustała właśnie, gdy się zwiększenia jej spodziewać było można. Czuł się silniejszym. Pozbierał broń, zatknął pistolet za pas, przypasał szablę, pościskał bandaże na ranach.... wypił jeszcze pół kubka, przeżegnał się znowu, i stał w progu. Miał drzwi otworzyć, gdy te się uchyliły i krzyk dał się słyszeć. Stała przed nim Jadzia, blada i drżąca. Patrząc nań łzawemi oczyma podała mu rączkę. Sobą chciała wyjście zasłonić.

— Panno Jadwigo—odezwał się spokojnie Korczak—Pan Bóg mi na to siły powrócił, abym ich użył w waszej obronie. Nie ma tu już czego szczędzić, bo zginiemy wszyscy. Niemówił mi nikt, ale wiem, widziałem we śnie—zamek dolny wzięty!

— Ah! tak! tak! Tatarzy cisną się zewsząd, ludzie nasi cudów dokazują, ale godzina, dwie i wszystko się skończy i—umierać potrzeba.

— Wszystko się skończy — zawołał Janasz — ale wcale inaczej niż panna Miecznikówna sądzi. Daj mi pani błogosławieństwo.... ja iść muszę.

Jadzia obejrzała się trwożliwie na wszystkie strony. Z szyi zdjęła prędko medalik z Matką Boską i pocałowawszy go, włożyła nań.... Janasz ukląkł, do ręki jej usta przyłożył i zbiegł.

Olśnił go blask dnia, ogłuszyła wrzawa. Naprzeciwko na dachu spalonego domu stali już kupą Tatarzy i sypali strzałami. Na murze naprzeciw nich Jabłonowski ze swoimi ludźmi odstrzeliwał się. Słychać było głuche bicie we wrota.

Kiedy niekiedy odezwała się śmigownica. Lud z miasteczka znosił kamienie i ciskał je z bocznych murów, które także oblegali Tatarowie. Walka rozżarta była z obu stron. Z ciężkością ludzie się z sobą rozmówić mogli, taki szum i krzyk nieustanny wił się w powietrzu. Pomagał mu wiatr silny, który niebo oczyścił z chmur. Słońce wschodziło krwawo i jaskrawo. Dymy osiadały w dolinie porozciągane jak zasłony pół-przejrzyste.

Na górze w oknie, ksiądz Żudra w komży i stule, z krzyżem w ręku, z brewiarzem w drugim, kończył ranne modlitwy.... Wizerunkiem Zbawiciela żegnał mężnych obrońców i kreślił krzyż w powietrzu, jakby chciał nieczyste rozpędzić siły. Za nim stojąca Miecznikowa różaniec przebierała w palcach, ale na stole przed nią nabitą broń widać było. Przewidywano ostateczność, gdy się już na samej wieży bronić przyjdzie. Pani Zboińska kazała kamienie z podłóg wyrywać, na dole gotowano wrzątek w kotłach.

Jadzia wchodziła do izby, gdy pani Miecznikowa ujrzała Janasza, który biegł ku wrotom, prowadząc za sobą Nikitę.

— Jak to? zawołała—Janasz wstał?

Nikt jej nie odpowiedział.

Widać było ztąd jak z rusznicą stanął, podniósł ją i wypalił, potem ludzi począł rozstawiać i przebiegł na inne miejsce.

Jabłonowski stracił był już znowu nadzieję i przytomność, chodził zburzony, popod murem ręce łamiąc i ludzi swych popychając. Wnet go w dowództwie zastąpił Janasz i objął je. Z murów można było dojrzeć tatarskie obroty. Zalegali oni dolny zamek cały, budynek przed bramą i rojem leżeli od wąwozu. Część ich drabiny wiązała, aby się wdrapać na mur dzielący dwa podwórza.

Ale tu obrona była dzielna i trupami już podesłany wązki przesmyk dowodził, że oblężeni nie stracili otuchy. Nikita skradał się na pnących ku górze i więcej ich obalił kamieniami niż drudzy strzałami.

Lecz liczba oblegających była tak wielka, iż w końcu zdobycie stawało się nieuchronnem.... bo środki obrony wyczerpać się musiały. Strzelano już oszczędzając prochu i kul. Kamienie, które spychano, mogły w końcu wał pod murem usypać, któryby wdarcie się nań ułatwiał.

W podwórcu lament i rozpacz były okropne, kobiety zawodziły jak przy umarłych, tuliły dzieci i zachodziły się od płaczu. Starcy siedzieli jak skamieniali i zobojętnieli.... inni o mur głowami tłukli, modląc się razem i przeklinając.

Tatarowie zdołali podłożyć pod bramę ogień, pomimo strzałów, i kłąb dymu już się koło niej podnosił powoli....

Udało się Janaszowi, śmigownicę tak wykierować, iż zmiotła z dachu przyległego budynku część Tatarów. Kula przebiła wczoraj nadpalony pułap i reszta dziczy stojącej na nim, zawaliła się z trzaskiem i krzykiem w głąb budowy. W ten sposób obroniono się od dokuczliwych strzałów, które sięgały do wnętrza, a ściana budynku stawała się zasłoną.

W chwili, gdy się to stało, dzicz oblegająca wydała wisk mściwy i zajadły, od którego wszyscy zadrżeli.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYPRAWA AUSTRYACKA

POD BIEGUN PÓŁNOCNY.

Dnia 13 czerwca 1872 r. wyruszyła z Bremerhaven na Morzu Północnem wyprawa podbiegunowa, pierwsza urządzona przez Austryę, a szesnasta czy siedemnasta z rzędu od czasów Hayes'a, który odkryciami swemi i spostrzeżeniami w r. 1860 rozpalił wyobraźnię żeglarzy i nowe pragnienie w ludziach nauce poświęconych obudził.—Na tle przemysłowo-handlowego życia, te wyprawy podbiegunowe wyglądają jak żywe poemata: jest w nich coś z bohaterstwa, coś z idealizmu. Nauka patrzeć musi na nie z wielkiem natężeniem, wyglądając za każdym razem jakiego stanowczego odkrycia, któreby pozwoliło jej wyrobić sobie stałe niewzruszone pojęcie o naturze strefy biegunowej, o jej fizycznem upostaciowaniu, któreby ukrzepiło nadzieję dotarcia kiedykolwiek do północnego krańca osi ziemskiej. Nie można bez uznania, bez głębokiego uczucia miłości dla walczącego o prawdę człowieczeństwa, patrzeć na te trudy, na te ciągłe szturmy przypuszczane do lodowej warowni, w której się zamknęła wielka tajemnica świata, jedna z tysiącznych, jakie mimo wszelakich postępów swoich, dziś jeszcze na każdym kroku nauka ścisła spotyka—i wiecznie chyba spotykać będzie. Dla rozjaśnienia pojęć o strefie biegunowej północnej wiele już zdziałano od pierwszej wycieczki Rossa i Parrego (1818 r.); lecz wszystkie dotąd osiągnięte wyniki, dokonane zdobycze, daleko jeszcze, bardzo daleko, leżą od upragnionego celu. Z dwudziestu trzech stopni, jakie liczy promień koła biegunowego, na piętnaście tylko posunięto się w górę. Parry w 1827 r. ledwie za 82° st. sz. półn. dotrzeć zdołał a był on najśmielszym, przynajmniej najszczęśliwszym ze wszystkich żeglarzy podbiegunowych. Każda nowa wyprawa pracę rozpoczynać musiała od początku; nie zakładano bowiem stacyi, któreby na przyszłość dawały dogodniejsze już punkta wyjścia: ogrom zadania był i jest ciągle jednakowym, spełnienie tylko jego zostało nieco ułatwionem przez poznanie lądów, zwłaszcza w półkuli zachodniej po nad Ameryką. W tamtej stronie żeglarze wypływający na północ, wiedzą już jak się kierować, znają wrota prowadzące do okolic podbiegunowych. Lecz znać wyjście nie jest to jeszcze możność wyjścia posiadać — a po wyjściu, co? Lody — lody w postaci wysp, wielkich płaszczyzn pływających, gór, gleczerów, dolin i przepaści. Lód i lód wszędzie. Szczęśliwy jeszcze podróżnik, któremu się uda odkryć kawałek lądu, trochę kamienia i piasku. Gdyby przy dalszem posuwaniu się na północ, nie miano nigdy znaleźć warunków dogodniejszych, gdyby nie natrafiono na pełne morze lub też ląd otwarty, wysoko ponad morze wyniesiony, zdaje się, że dotarcie do bieguna musiałoby pozostać na zawsze marzeniem nieurzeczywistnionem. To też idei morza wód ciepłych, z prądem golfstremowym, morza, po któremby swobodnie żeglować można, chwycono się z żarliwością młodzieńczą, zaraz po powrocie Hayes'a, którego opowiadania istnienia takiego zbiorowiska wód domniemywać się nakazywały. W to *morze wolne* wierzy dziś stary Peterman, jeden z ojców geografii, a najgorętszym wyznawcą jego był Francuz Lambert, który na rok wojny niemieckiej przygotowywał wyprawę pod biegun, kosztem całej Francyi, do składek publicznych wezwanej. Uczeni fizycy stawiali teoremata, wyprowadzające z ogólnych warunków kosmicznych, geograficznych i mechanicznych istnienia ziemi, konieczność znajdowania się wielkich mas wody ciepłej pod samym biegunem. Wmówiono w siebie bez trudu, że okrąg właściwego bieguna jest niby wielki bassen wypełniony wodą, nad którą unosić się mogą lądy, lecz która ma wolną od lodów powierzchnię. Brzeg tylko tego bassenu, pomiędzy 80 a 82 stopniem sz. półn. utworzony jest z wału lodowego; dość będzie przez ten wał się przebić, aby wypłynąć na pełne morze—i potem już szczęśliwie do bieguna żeglować. Imaginacye rozgrzane, chwytały każdą wskazówkę, każdy szczegół podróżniczy, z nieoględnością, którą ludzie ścisłej nauki miarkować potem musieli. Kilkanaście wypraw od 1867 r. powstało tylko pod powiewem tej nadziei, że po za lodami znajdzie się niewątpliwie morze wolne od lodów. Nadzieja dotychczas zawodną się zawsze okazywała. Wyprawy niektóre, jak naprzykład szwedzka Nordenskiölda przyczyniły się do wzbogacenia wiadomości naszych o fizycznym i organicznym stanie ziemi, lecz żadna z nich nie osiągnęła głównego swego celu: nie przedostała się na owe morze, tajemnicze, nieznane, o którem dziś jeszcze wątpić należy, czy rzeczywiście istnieje.

Pierwsza myśl wyprawy austryackiej powziętą została w roku 1869, kiedy jeszcze porucznik marynarki Payer znajdował się z Koldeweyem na niefortunnej ekspedycyi statku niemieckiego „Germania.“ Za powrotem do kraju Payer znalazł dość ludzi chętnych do wykonania planu własnej wyprawy austryjackiej. Urządzeniem jej zajęli się głównie hr. Wilczek, bogaty człowiek z Morawy i Zichy magnat węgierski. Dziennikarze dawali poparcie moralne; Wilczek i Zichy dali pieniądze, o co jak się zdaje, trudniej być musiało niż o artykuły. Po przeprowadzeniu korespondencyi z rządem obu połów monarchii, zyskano dla wyprawy parowiec śrubowy „Tegetthoff.“ Dwudziestu czterech ludzi tylko stanowić miało załogę i tylu też wypłynęło na morze. Ekwipowanie statku zajęło wiele czasu, ale zadowolniło wszelkie wymagania. Wyprawa zabrała ze sobą przyrządy naukowe: wszystkie przedmioty, jakich potrzebę w podróży pod biegunem przewidywać było można: więc sanie i psy, oskardy, piły i topory, świdry olbrzymie. Wybierano się na lat kilka i na taki czas wzięto zapasy żywności i węgla. W r. 1871 przeznaczeni na dowódzców wyprawy: specyalny marynarz Weyprecht i geograf Payer, pierwszy rodem z Czech (urodzony w r. 1842 w Cieplicach), drugi Darmstadczyk, obaj zaś oficerowie w służbie morskiej w Austryi, odbyli wycieczkę rozpoznawczą we wschodniej stronie Szpitzbergu na żaglowym okręcie norwegskim „Isbjörnen,“ który ich dowiózł aż pod 78 st.” 43 m. sz. północnej bez przeszkód lodowych. W tę stronę pomiędzy wyspy Spitzberg i Nowaja Ziemla postanowiono skierować wyprawę. W dniu na początku powołanym wyprawa wyruszyła z portu bremeńskiego. Rok 1872 był na wiosnę bardzo niekorzystnym dla żeglugi na północ. Statek bardzo prędko natrafił na lody, nie mógł przybić do brzegów Nowej Ziemli i wrócić się musiał znacznie na zachód, aby skorzystać z nędznej przystani jaką, dać mogła *Wyspa Niedźwiedzia* (75° szer. pomiędzy Norwegią i Spitzbergiem [1]). Na dzień przed schronieniem się do portu, spotkano hr. Wilczka który na pożegnanie od brzegów Norwegii nadpłynął. Wypoczynek z pożegnaniem złączony trwał dni ośm. Rozłączenie się nastąpiło dnia 21 sierpnia 1872 r. Wilczek z towarzyszami przez morze Karyjskie i gubernię Archangielską powrócił do Europy: opis tego powrotu czytać można było w Kłosach z r. b. pod tytułem: „Podróż powrotna hr. Wilczka.“ Z chwilą nastąpionego rozdziału rozpoczęła się dopiero właściwa wyprawa pod biegun. Koleje jej o ile z dotychczasowych materyałów poznać można, były następujące:

Zaledwie Wilczek na Wschód ku nowej Nowej

---

[1]) Tę wyspę wymienia sam Weyprecht, może być jednak, że należy tu rozumieć jaką wyspę na *Morzu Barenta*, około Nowej Ziemli.

Ziemli odpłynął, wydostano się na pełne morze, i w dniu pożegnania żeglowano swobodnie od południa do północy. Nad ranem mroźny wiatr wschodni ściął powierzchnię wód i uwięził „Tegetthoffa“ w lodzie. Nastał peryód ciszy w powietrzu: śnieg spadł w wielkiej ilości, robiło się coraz zimniej, skorupa lodu rosła ciągle i tak trzy tygodnie bo do 9 września przebiedowano, nie ruszając się z miejsca. Tego dnia powstał silny bardzo wiatr i porwawszy statek razem z płytą lodową, do której był przymarznięty, zaczął miotać nim to w lewo to w prawo, posuwając go ciągle ku północy. Nadaremnie starano się „Tegetthoffa“ z więzów lodowych uwolnić: spadająca ciągle temperatura pracę wszelką w niwecz obracała. Okręt stał się bezwładnym automatem; machina parowa, śruba na nic mu już nie były przydatne. Płynął tam gdzie go wiatr sam nieść raczył. Wśród rozhukanych żywiołów zimy, niewola ta stała się dobrodziejstwem. Płynąca nieustannie kra, dała początek wyspom lodowym, które piętrząc się coraz wyżej, groziły statkowi zdruzgotaniem, a od tego losu chronił go właśnie lód, którym był dokoła opasany. Ten lód doszedłszy do znacznej grubości, z początku nie dawał przystępu groźnym masom, dosięgającym już w październiku wysokości pagórków. Ale pomiędzy 13 i 15 t. m. ciągłe ścieranie się z pływającemi bryłami, przebiło tę osłonę tak dobroczynną dla statku. Zmierzono się oko w oko z niebezpieczeństwem. Ratowano się czem było można: pod sam spód okrętu powsuwano masy lodu, dla podniesienia statku i wzmocnienia tarczy na której był dotąd niesionym przez wichry. Mróz zwiększał się z dniem każdym. Chwili spokoju nie było; statek mógł zostać niespodzianie strzaskanym. W takich warunkach przygotowano się zawczasu na nieszczęście. Żywność i zapasy mniej miejsca zajmujące a ważniejsze od innych, wyniesiono na pokład i na lód, w którym zamarznięty statek gnany był ciągle w kierunku północno-wschodnim, tak iż w końcu stycznia 1873 r. znalazł się pod 79 st. szer. półn. a 73 st. dł. geogr. na wschód od południka wyspy Ferro. Wówczas prąd się zmienił i idąc od wschodu na zachód, aż do lata ciągle statek z sobą unosił. Wśród takich przygód minęła zima z r. 1872 na 3.

Zimę podbiegunową opisuje z mistrzowskim darem słowa podróżnik amerykański, któremu głównie w naszych czasach zawdzięczyć należy popęd dany wyprawom na Ocean Północny. Trudno sobie wyobrazić wrażenie, jakie sprawia *muzyka milczenia*, upostaciować tę ciemność, w jakiej oczy podróżników przez kilka miesięcy ciągnących się leniwie, długo jak wiek cały—zatapiać się muszą, dopatrując kształtów i mas nieistniejących, ale wytwarzanych przez imaginacyę dla nasycenia zgłodniałego wzroku. Czego tam człowiek nie widzi, czego nie słyszy wtym przestworze ciemnym i cichym, który tylko zorze niebieskie na przemian z księżycem oświecają! Prawdziwie, groźna poezya panuje w całej tej dobie. Dusze do mistycyzmu skłonne, tu mają dla siebie miejsce i czas na marzenia: mogą się swobodnie w przepaściach ducha zagłębiać, dopóki ciało nie zacznie ciężaru istnienia uczuwać i nie zajmie myśli na swój wyłączny użytek. Pracować tu potrzeba nad sobą, aby na duchu nie upaść, nie utracić energii, nie poddać się tej przygniatającej zewsząd naturze. Pierwsza zima spędzona pod biegunem przez wyprawę austryacką, zaczęła się w połowie października; dzień wówczas trwał zaledwie parę godzin; wreszcie po miesiącu słońce zupełnie pod widnokręg zapadło i nie ukazało się więcej aż do marca. Noc zimowa trwała blizko cztery miesiące. Potrzeba myślenia o sobie dawała stałe zajęcie załodze; dowódzcy dla utrzymania duchą zajmowali się jeszcze codziennemi ćwiczeniami. Święta obchodzono uroczyście. Na lodzie zbudowano domek z węgli kamiennych i lodu: tam uroczystowano w wilię Bożego Narodzenia. Choinkę zrobiono z łat malowanych i papieru. Przy kolacyi na stole zjawiło się mięso z białego niedźwiedzia; zwierza tego latem jeszcze kilkadziesiąt sztuk ubito. Po wigilii rozdano podarunki załodze, wesołości nie brakło: bo rumu i wina była jeszcze obfitość. W nocy przyszedł wiatr i domek zburzył. Na Nowy Rok 1873 urządzono marsz z pochodniami na około statku, który znacznie już przez ciągłe napływanie kry nad powierzchnię zamarzłego morza wyniesionym został. W marcu ukazała się czerwona, krwawa tarcza przy samym krańcu widnokręgu: było to słońce. Nastawała wiosna, dzień rósł, lody topniały i znowu zaczęto się obawiać o statek. Przez pięć miesiący aż do zimy następnej pracowano nad tem, aby go od skorupy lodowej oderwać, ale wszystkie używane środki, nawet rozsadzanie prochem, okazało się bezskutecznem: 30 stóp pod najniższym zrębem statku, lud był jeszcze zupełnie tęgi i wzruszyć go było niepodobna. W końcu stycznia (1873 r.) wichry zaczęły gnać statek na zachód, kierunek ten później zmieniał się często, i podczas lata przeszedł w południowo-północny. W ten sposób z niezmierną powolnością statek poruszając się, uczynił do października 1 stopień w górę na południku. Morze było miejscami wolne; znajdowano się na wschód w niewielkiej stosunkowo odległości od Spitzbergu [1]). Aby dać światu o sobie znak życia, nawrzucano do morza dość butelek z wiadomościami o losie wyprawy: żadna z tych posłannic nie dostała się nigdy w ręce ludzkie. Żeglarze bez krzywdy dla siebie mogli zupełnie o świecie zapomnieć.

W ostatnich dniach sierpnia ujrzano ląd. Radość była nie do opisania. Nareszcie osiągnięto jakikolwiek owoc tylu trudów! Była to taż sama ziemia, której początkowo po nadejściu pierwszych wiadomości do Europy nadano nazwę Ziemi Franciszka-Józefa, a którą dowódzcy wyprawy nazwali na cześć jej czynnych promotorów *Ziemią Wilczka i Zichego*. Prąd wiatru wiejącego ku północy, zapędził statek do południowego brzegu tego lądu pod 80° stopień szerokości północnej. Działo się to w połowie października. Zima w roku zeszłym nastała pod biegunem później niż 1872 r., ale była silniejsza i dłużej trwająca. Morze w październiku jeszcze nie było zamarzło i odsunęło statek od lądu na południe. W początku listopada (1873 roku) mróz ściął wodę i zatrzymał podróżników na zimę pod 79° 51' szer. półn. i 58° 56 dług. wschod. Z tego miejsca „Tegetthoff“ więcej się już nie ruszył; tam tkwi jeszcze do dziś dnia, jeśli go lody nie skruszyły. Drugą zimę poświęcono badaniom meteorologicznym, magnetycznym i do dziedziny astronomii należącym. Weyprecht mówi, że czas był wielce do tych doświadczeń sposobnym. Niewymownie piękne zorze z panującemi blaskami białemi, zielonemi i czerwonemi oświecały horyzont, który gorzał od nich wielką wspaniałością. Czarów, jakie roztaczało na około siebie światło, nikt opisać nie zdoła. Wtedy kiedy zorza na niebie jaśniała, człowiek nie czuł się wcale zamkniętym w czarnej lodowatej skrzyni, w jaką go noc biegunowa wtłoczyła. Doświadczenia meteorologiczne prowadzono bez przerwy: od dnia do dnia są notaty jak najporządniej prowadzone aż po dzień 15 maja 1874 r. Igła magnesowa znajdowała się w ciągłym niepokoju; zboczenia jej bywały tak wielkie, że podobnych jeszcze nigdy nie zauważono. Wzmiankują też, iż niekiedy traciła zupełnie swą czułość. Powtórzyły się zajęcia i trudy zimy poprzedniej—podejmowane teraz już z większą otuchą bo przy nich myślano o nowym lądzie, który z wiosną zaraz zwiedzić postanowiono. Powrót do Europy przedstawiał się jako nieubłagana konieczność. Okręt był nieużytecznym i w końcu lutego (1874 r.) na radzie oficerów uchwalono porzucenie go zupełne. Część załogi z początkiem marca użytą została do stosownego przygotowania łodzi na podróż powrotną. Wsadzono je na łyżwy, ponakrywano namiotami i w każdą wrzucono po 18 centnarów żywności. Tak przysposobione łodzie czekały tylko rąk, któreby wiosła nad niemi pochwyciły. Tymczasem na nieznanym lądzie od 9 marca do 4 maja dokonały się z pomocą pozostałej części załogi trzy podróże, którym przewodniczył Payer.

[1]) Archipelag Spitzbergu rozciąga się wzdłuż od 25 do 42 stopnia (Fer.) w szerz od 76° 30' do 80° 40'. Stopnie szerokości na równoleżniku 80 stopnia są już bardzo małe (około $2^1/_2$ mili). Podróżnicy tułali się pomiędzy 58 i 73 stopniem długości wschodniej.

(Dokończenie nastąpi).

DROBNE LISTKI.

Z okolic Łucka, we wrześniu 1874 r.

Wołyń zajmuje rozległy wielce płat ziemi, łączący się z Podolem i Ukrainą. Grunt przedstawia ciekawe strony dla geologa. Łatwo on tu rozpoznaje kotlinę starożytnego morza, które zalewało niegdyś, w czasach przedhistorycznych, cały ten szeroki obszar. Dowodzą tego muliste osady nie pochodzące bynajmniej z wód diluwialnych, gdyż w takim razie wody te pozostawiłyby tak zwane *głazy błędne* (Blocs erratiques), których przecież nie napotykamy tam ani śladu. Drugiem świadectwem istnienia morza w czasach geologicznych w tych okolicach, jest utwór kredowy, zajmujący tu równie rozległe przestrzenie jak w Lubelskiem. Wiadomo, że kredę stanowią skupienia skorup zwierzątek, zwanych *dziurkowcami* (Foraminifera), należących do polipów ślimaczkowatych żyjących w morzu. Pancerz tych polipów kształtował się w wodach morskich w wapno zasobnych. Obecność zatem kredy mówi nam zarazem o państwie Neptuna. Nie wszystkie wszakże miejscowości Wołynia, zalane były ongi falami oceanu; gdyż okolice Krzemieńca podobnie jak Kamieńca Podolskiego, w kwarcyt obfitujące, wyformowane tem samem były pod wpływem odmiennego procesu geologicznego. Natomiast około Łucka, Szelwowa, Łokaczewa, nie znajdujemy nawet kamyka. Ztąd też Wołyń odznacza się takiem bogactwem próchnicy (humusu); grunta tu złożone są z warstw tłustych czarnoziemiu, w wielu miejscach pomieszanego z piaskiem. Ziemia to przedziwna dla rolnika, gdyż jest nadzwyczaj urodzajną; Wołyniak jednak w czasie wiosennych roztopów i ulew jesiennych, wcale jej nie błogosławi. Rozmiękły wówczas czarnoziem tworzy straszliwe topiele, w których grzęzną ludzie, konie i bydło. Podróże w tym czasie przy braku szos, są prawie niepodobieństwem. Zresztą o szosach tu ani marzyć w powodu braku kamienia, natomiast są tak zwane trakty polskie, wielce szerokie, przerzynające rozległe równiny, że krańca nie sięgnąć okiem. W lasy liściaste kraj to bardzo bogaty, gdzie niegdzie jednak tylko można napotkać jodłę, świerk lub sosnę. Zwierza w tych lasach do zbytku, zwłaszcza też drapieżnego, rozrodził się on srodze z powodu braku broni palnej. Wilki też rozgościły się na dobre i do wsi zaglądają. Wołyń przechował dość liczne zabytki przeszłości, kurhany, szańce i lochy podziemne. W czasach napadów tatarskich, podziemia te służyły mieszkańcom za schronienie, a ciągnęły się nieraz na kilka wiorst. W Koniuchach, byłej rezydencyi Stefana Czarnieckiego, istnieje dotąd jeden taki loch wielce rozległy, a ciągnie się od pałacu pozostałego po hetmanie, będącego dziś własnością hrabi Feliksa Czackiego, aż do głębi lasu; o tym lochu przechowało się podanie, utrzymujące się w takiej sile, że chowaj Boże, okazać jakie niedowierzanie. Przesądny Rusin przekonywa cię o tem z taką wiarą, że obruszyłbyś go srodze najmniejszem powątpiewaniem w tej mierze. Owoż wieść niesie, że niedługo po skonie starego hetmana w Sokołówce Tatarzy swoim zwyczajem zaczęli kraj plądrować. Przerażeni mieszkańcy kryli się po lochach i lasach z dobytkiem, a wojewoda (tradycya nie wymienia jaki) przenieść rozkazał skarby w skrzyniach żelaznych zamknięte, do owych lochów, gdzie dotąd nietknięte mają pozostawać. Samego złota ma być tam ośm garncy. Dodać winienem, że już kilkakrotnie kuszono się o wydobycie owych bogactw, lecz zawsze bezowocnie. Na widok czarnej czeluści podziemnej, najśmielszym nie starczyło odwagi do poszukiwań, a zresztą odstraszały znaczne koszta, jakieby ponieść trzeba było, rozkopując te rozległe pieczary, w głębi ziemi murowane. Rusin jest uparty i przesądny, ale obok tego posiada zalety niemałe, pracy i oszczędności, wielce też bywa gościnnym. Lud to ciemny, więcej go obchodzi dobrobyt fizyczny niż oświata, a zresztą poprzestaje na swojem. W gospodarce włościan znać ład i zamożność, stawiają sobie porządne chaty, a u wielu w komorze znalazłbyś kilka tysięcy rubli odłożonego grosza. Kiedy w święto przywdzieje sukmanę własnej roboty

i włoży na głowę czapkę z barankiem czarnym, to aż miło popatrzeć jak poważnie kroczy do cerkwi lub kościoła. Butny też bywa wielce, gdy się sposobność nadarzy. Ot naprzykład:

— Pójdziecie do żniwa gospodarzu, pyta się rządca.

— Jabym wam sam zapłacił, żebyście poszli—odpowiada gospodarz z przekąsem i poprawia czerwony pas, jaki zawsze otacza mu biodra.

Okolice wołyńskie najczęściej są smutne, rzadko gdzie można natrafić na krajobraz malowniczy; pieśni też ludowe nie wesołe. Pomimo świeżego, orzeźwiającego powietrza, coś piersi ciśnie, obejmuje je tęsknotą i zwątpieniem.

Głównem miastem Wołynia, jest Łuck rozłożony na prześlicznej równinie, oblany do koła wodami rzek Głuszczu i Steru. Starożytny ten gród z dziewięć może stuleci dźwiga na sobie; zamek rozsypany dziś w gruzy, według kronikarzy zbudowanym został około 1000 r. przez Włodzimierza wielkiego księcia kijowskiego. W XIII wieku Łuck był stolicą udzielnego księztwa, a następnie przeszedł w posiadanie księcia halickiego Daniela. Wytrzymywał też dzielnie nieraz szturmy tatarskie i napady Litwinów. Z kolei Łuck przechodzi w ręce Gedymina, Kazimierza Wielkiego, Witolda, Świdrygiełły i Władysława Jagiełły. Tatarzy w 1453 roku pustoszą miasto, a potem pożar dokonywa zniszczenia. Dawną świetność temu grodowi przywraca dopiero Aleksander Jagielończyk. W 1540 roku ogień znowu pożera miasto. Za Zygmunta III-go cały Łuck z przedmieściami otoczony był wałem, palisadą drewnianą i basztami. W 1648 roku doznał straszliwej klęski po zdobyciu go przez Bohdana Chmielnickiego. Według kroniki, 40,000 mieszkańców, zginęło od miecza i ognia, lub w ucieczce szukało ocalenia. Wojny, morowa zaraza, głód, pożary dotykały z kolei nieszczęśliwe miasto, które pod brzemieniem tych klęsk nie mogło dźwignąć się z upadku. Przy tem wszystkiem mieszczanie znosili nie małe uciski, tracili mienie i przywileje. Dawny zamek łucki zbudowany przez Lubarta około 1325 roku, przerabiany przez Witolda, Świdrygiełłę i Zygmunta Augusta, gruzami tylko przypomina dawną swą wielkość.

Z wielu przybytków Bożych, jakie tu niegdyś istniały, pozostały tylko dwa katolickiego obrządku, w których odbywa się nabożeństwo. Z tych pierwszym jest kościół katedralny Ś-ej Trójcy, dawny pojezuicki, zbudowany przez Pawła Wołuckiego biskupa w 1640 roku. Świątynia ta w stylu odrodzenia wspaniale przerobiona przez biskupa Cieciszewskiego, jest niezaprzeczenie najpiękniejszą na Wołyniu. W wielkim ołtarzu mieści się obraz Ś-ej Trójcy, a w bocznych S-ty Michał archanioł i Wniebowzięcie N. M. Panny, malowane przez Bacciarellego. W trzecim ołtarzu wyobrażony jest Ś-ty Jan Kanty, pędzla Smuglewicza. Drugi kościół wraz z klasztorem pp. Brygitek po spaleniu w roku 1724, odbudowany został w 1781 roku. Przechowuje się w nim ciało Ś-ej Anny Oświecimskiej, przeniesione z Krzemieńca, z kościoła franciszkańskiego. Przy dolnym zamku piętrzy się kościół podominikański; starzec ten którego kolebka sięga może XIII wieku, legł w grobie w zawieruchach czasu, piękne zaś obrazy, jakie mieścił, przeszły do katedry. Przy dawnym moście na Głuszczu, wiodącym na przedmieście Chmielnik, napotykamy ruiny kościoła Bazylianów. Z tejże strony wznosi się cerkiew Pokrowy wielce starożytnej architektury, mieszcząca w sobie obraz Matki Bożej. Od zachodu widnieją tu jeszcze ruiny kościoła ormiańskiego Ś-go Stefana, jaki istniał za Witolda. Zewnątrz dolnego zamku widać szańce z basztą, którą żydzi sobie obrali za synagogę.

Komu nieznane są dzieje Łucka, ten nigdyby nie pomyślał, że tu niegdyś roił się lud liczny bo kilkudziesiąt-tysięczny; że gród ten odgrywał niepospolitą rolę i zajmował dostojne miejsce w historyi. Ludność dochodzi dziś do 10,000; domów liczy Łuck przeszło sześćset. Cały handel spoczywa w ręku żydów.

Dawniej z powodu braku środków komunikacyjnych, produkta tej ziemi urodzajnej nie mogły się korzystnie opłacać, dziś koleje żelazne zmieniły te wielce niewygodne warunki ekonomiczne. Życzyćby jednak należało, aby podróżny odbywający drogę koleją żelazną Kijowsko-Brzeską, znajdował na stacyach większą wygodę i przystępniejsze ceny.

W. N.

NA WSCHODZIE,

USTĘP Z WYCIECZKI NAD AMUR

Napisał **S. Maksimow.**

Handel herbatą.

(Dalszy ciąg).

Wtedy Chińczyk bez namysłu powie: — Prosimy — i wskaże swój dom, a prowadząc do czystej izby i siadając na pryczach pokrytych perkalem w różne kwiaty, esy i floresy, nie omieszka spytać się po chwili:

— Tsa-pichu-hyczy.

Ugości was potem wyborną, prawdziwie chińską herbatą, która z Moskwy zazwyczaj nigdy nie wychodzi, nie będąc zmięszaną z gorszemi gatunkami. Udzielcie tylko stanowczą odpowiedź, że pragniecie napić się herbaty, a Chińczyk nie omieszka zaraz włożyć sporej szczypty do czarnego czajnika i postawić go na węglach zawsze rozżarzonych na ognisku w pobliżu prycz. Nie zdołacie jeszcze mrugnąć okiem, a już podsunie wam pod nos zapaloną maleńką miedzianą fajeczkę na króciutkim cybuszku z mundsztuczkiem krwawnikowym, nazywanym *hanza*, nawet w Japonii. Nalewając potem herbatę w małe, lecz urobione z przepysznej chińskiej porcelany filiżaneczki, do których kładzie cukier wtedy jedynie, gdy tego żądacie i uprzedzacie go, że tak pić byście chcieli, Chińczyk dodaje łamanym językiem: — Ręczę wam za to, że ugościłem dobrą herbatą. W tym razie w samej rzeczy nie skłamie, chociaż jest jego zwyczajem mijać się z prawdą i przechwalać we wszystkich innych wypadkach, nawet wtedy, gdy nie może mieć w tem żadnego interesu. Herbata, którą traktują w Majmaczynie, zazwyczaj bywa żółtą, szeroko rozpowszechnioną w użyciu w całych Chinach; należy też do gatunku kwiatowego familijnego własnej gospodarza firmy. Posiedźcie czas jakiś, pijcie z przyjemnością herbatę, pokażcie gospodarzowi, że chętnie u niego przesiadujecie i mile wam z nim być, a wkrótce usłyszycie znowu taką propozycyę:

— Wszelkiego rodzaju zakąski mamy także na usługi gości. Bądźcie przekonani, że o jakimkolwiek czasie byście przyszli, rano, w południe lub wieczorem, u gościnnych i lubiących domową zagrodę Chińczyków majmaczyńskich, zawsze znajdziecie z dziesiątek potraw w zapasie. Wszystkie te potrawy podadzą wam w małych naczyńkach z nieodstępnemi pałeczkami zastępującemi widelce i koniecznie z czosnkiem i octem, służącemi za przyprawę. Prócz tego ugoszczą was rozgrzanym w miedzianym czajniku arakiem, podając takowy w filiżaneczkach szklannych niewiele większych i grubszych od naparstka. Smaczny i przyjemny ten napój wielce jest pożądanym, bo bez niego trudno, a nawet niepodobna by było zjeść i strawić chińskiego obiadu.

Na stole chińskim spotkać można pająki morskie w rodzaju pijawek, szczurze mięso i jakieś dzikie rośliny, raki, robaki, a wreszcie i prosiaka bardzo pożądanego dla rossyjskich gości i mającego tak zręcznie upieczoną zwierzchnią skórę, nader smaczną, że go rozpoznać prawie niepodobna. Znajdujemy tutaj również i zwyczajne sadło, lecz tak usmażone, że ujść może za najlepszą śmietankę, a w dodatku ma bardzo piękny zapach i rozpływa się w ustach w mgnieniu oka. Podają także zupy z trawami morskiemi i niesłychanie drogiemi ptasiemi gniazdami; bulion z cienkiemi kawałkami różnorodnego mięsiwa dzikiego i domowego ptactwa, a bardzo smacznemi kluseczkami i bardzo długiemi mącznemi rurkami w formie makaronu. Spotkacie również i okrągłe pierożki (kuszo) bardzo smacznie przyrządzane przez Chińczyków. To też sekreta kuchenne w tych stronach ściśle bywają zachowywane i drogo opłacany zazwyczaj kucharz nie odkrywa ich nawet swojemu panu.—A ile potraw zna chińska kuchnia, to chyba zliczyć jest niepodobieństwem. Na najskromniejszym obiedzie naliczyliśmy ich czterdzieści dwie, a majmaczyński *dżarguczej* podczas uroczystego święta Białego Księżyca karmi troicko-sawskich urzędników całe cztery godziny z rzędu różnemi potrawami. Jeżeli obawiacie się tej niesłychanej ilości potraw i nie bardzo apetycznych na pozór rzadkości chińskiej kuchni, to nie pozwalajcie się ugaszczać Chińczykom; jeżeli jednak macie trochę odwagi i ciekawości to siadajcie do stołu śmiało, ręczę, że niesłychanie skombinowane chińskie przysmaki spodobają się wam, pomimo że mieszkaniec tutejszy odwraca w zupełności porządek pod tym względem gdzieindziej przyjęty i zaczyna obiad od dań słodkich, a kończy go rozmaitemi zupami. Co prawda, grzechem byłoby zataić i tę okoliczność, że często powtarzając podobne ugoszczenie możecie być pewni, że zepsujecie żołądek z tej głównie przyczyny, iż chińska kuchnia przyrządza wszystko bardzo tłusto, a skutkiem tego potrzebuje przywykłego do niej usposobienia, szkodząc bezwarunkowo cudzoziemcom.

Chińczyk przyjmując przy swoim stole stara się urozmaicić obiad rozmową rozpoczynającą się zwykle stosownym wykrzyknikiem, mniej więcej podobnym do tego, jakim krajowiec wita w Rossyi obcego przybysza.

— Czyś pan przybył zwiedzić Majmaczyn? pyta gospodarz.

Jeżeli w samej rzeczy wybrałeś się na przechadzkę i w celu obejrzenia miasta, to idź, gospodarz odprowadzi cię do bramy i pożegna radą i życzeniem:

— Tutaj, za nami jest jur (jurta-dom), jeżeli chcesz, idź tam; ja później pójdę powiada Chińczyk.

Taką bywa zwykła rozmowa przybysza z gospodarzem tutejszym, poznajmy jeszcze w jaki to sposób prowadzoną bywa ta, której celem sprzedaż herbaty.

— Za jeden cybik herbaty ile dasz arszynów aksamitu?

— Ośmdziesiąt.

— Jakże możesz ofiarowywać taką cenę. Jeżeli chcesz dobić targu bez długich korowodów, mów na seryo—ile dajesz?

— Już powiedziałem właściwą cenę; ośmdziesiąt arszynów.

— To ma być cena prawdziwa? Dla czego mówisz napróżno? Któż za taką cenę ci sprzeda?

— Wasi kupcy oddadzą towar po tej cenie.

— Żartuj sobie, lecz nie gniewaj się!

— To jeśli chcesz koniecznie, dołożę jeszcze dwa arszyny.

— Napróżno, nie trać słów nadaremnie.

— Jak sobie wreszcie chcesz.

— Za taką cenę, jaką ofiarujesz, tutaj towaru nie kupisz.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: Osobiste wspomnienie z życia Maryi Somerville, (dalszy ciąg). — **Niewiasta polska**, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego. — **Sofonisba**, tragedya, (dalszy ciąg), przekład J. Grajnerta. — **Historya o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Wyprawa austryacka do bieguna północnego.** — **Drobne listki**, przez W. N.—**Na wschodzie**, (dalszy ciąg), przez S. Maksimowa.

Warszawa.—Druk S Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою 16 (28) Сентября 1874 г.